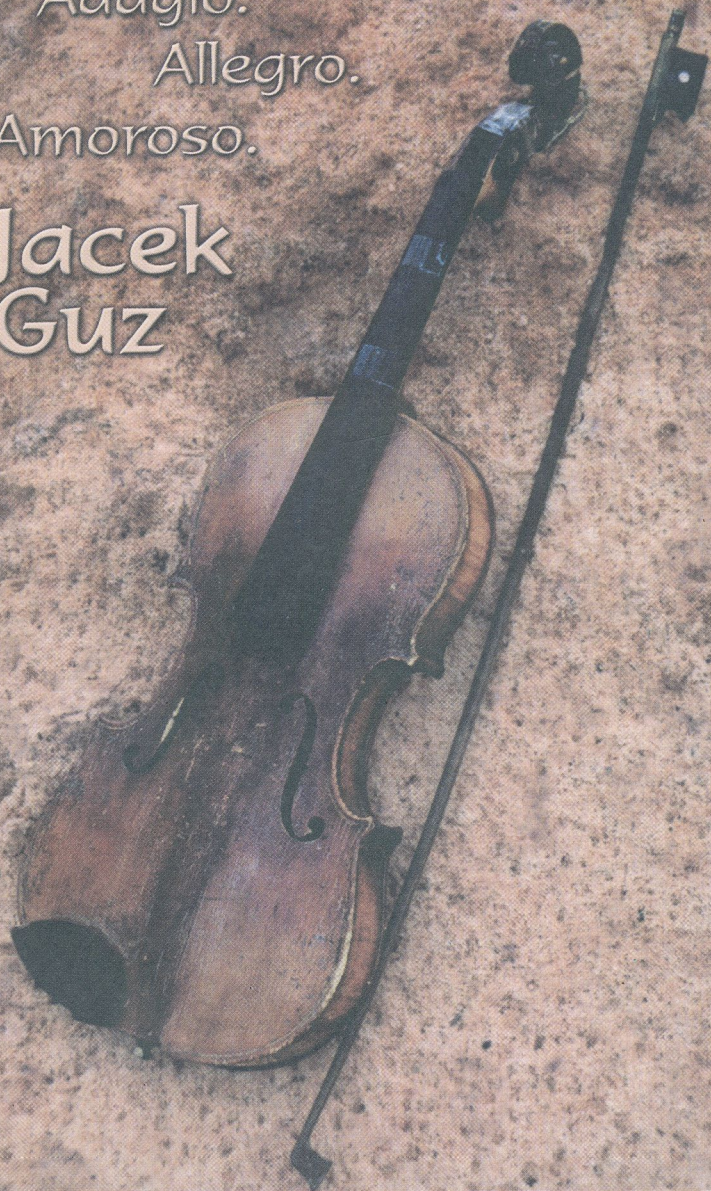


Adagio.

Allegro.

Amoroso.

Jacek  
Guz



Adagio.  
Allegro.  
Amoroso.

Jacek  
Guz



Foto: Lesław Skwarski  
Projekt okładki: Piotr Wysocki

© Jacek Guz

Wydano dzięki dotacji Urzędu Miejskiego w Lublinie

ISBN 83-913740-3-3



Wydawnictwo:  
Centrum Kultury w Lublinie  
20-007 Lublin, ul. Peowiaków 12

Przez

przez smyczek  
z tajemnicą strun spoufalcony  
na solo mgły rozpisana  
ulotna spojrzenia struktura

przez muzyki  
doskonałą akustykę tęsknoty  
którą nuta za nutą trafnie  
rozpatruje przez obliczem smutku

przez ręce wściekłej niemocy  
wieczność uproszczoną przesypuje  
dźwięk za dźwiękiem roztargniony  
okładając serce cierpką rozkoszą

przez upór melodii  
zdolny odgadnąć widnokrąg  
poza kręgiem nocy polarnej  
rozstrojonej strony duszy

styczeń '99

Którędy pośród nici idąc  
mógłby ominąć paproch dzisiejszej troski  
włoski materialnej nudy  
osiągając przy tym na poły  
zarys materii w temperaturze  
od stopni dziesięciu do ujemnych stopni  
opuszczonych w ciemność chłodnej pory

To płaszcz naczelne cnoty  
z pierwszą na czele pod pachą dziurą  
przyjmującą bez oporu świeżego powietrza dobrobyt  
Kołnierz sztywny i postawny  
pilnujący kiwającej się głowy  
stojący na straży pamięci  
pionu karku i symetrii upadku włosów

Do kolan sięga materiał przegrany i przetarty  
zawarty pomiędzy granatem niepewności  
a wściekłości purpurą  
uwieńczony picassowskim błękitem

Gdy z guzikami palce rozmawiają  
okazuje się niemożliwe  
zapięcie wszystkiego na ostatni guzik  
który odpadł kiedy się szarpałem pochmurny  
w pochmurny dzień z pochmurną naturą  
mojej chmurnej osobowości

# Wszystko co mogę

Już mi skrzybiały  
wszystkie fałszywe marsze żałobnego  
i każdy akant jaki mogłem i nie mogłem  
sobie wyobrazić  
opłatał głowę obłędu  
Nie będę wiedział więcej  
niż wiem teraz:  
jak odległe i niepewne jest "na pewno"  
jak cienka coraz cieńsza  
każda kolejna granica  
i jak odległy od własnego konturu  
każdy przedmiot rozpaczy i zachwytu

Wszystko co mogę  
to mierzyć tę odległość  
odliczać nokauty  
między wzrokiem a wszech rzeczą  
skurczami serca pasją według krwi  
Wszystko co mogę  
to rozkładać wciąż szerzej  
ręce bezradnego uczucia  
ramiona oniemiałego wrażenia

# Oda ku młodości

Zeschłymi liśćmi i wierszami o śmierci paliliśmy w piecu.  
Po szaleńczym dniu wieczór zapadał, nabawiał się ciepła.  
Nie zazdrościmy wróble orłom ani my Małemu Księciu;  
To samo powietrze jest dla skrzydeł, błękit dla krwi póki nie zakrzepła.

Wódka, Wistula rozlewna i wylewna, papieros niczym rytuał.  
Nic nie jest potrzebne do szczęścia i wszystko konieczne.  
Jak przeliczyć gorycz na słodycz nikt tego nie umiał.  
Niech zyski i straty samotnej duszy błędnej porachują w piekle.

Kto przeżył pijaństwo pod batutą chóru gwiazd, ten pamięta,  
Kto cierpiał na chroniczną trzeźwość smutku, ten sobie przypomni,  
Co muszą znieść uwięzione w sercu wygodniałe dzikie zwierzęta,  
Jak wiele jest słów pustych, uczuć zarzniętych, miejsc bezdomnych.

O świecie, z gardłem zaschniętym, myślą dymną, z duszą na ramieniu,  
Stawaliśmy na codzienny apel życia. Znów zdumieni wielce,  
Że oto nowe, nowe raz jeszcze. Wszystkiego i tak nie wymienię.  
Więc wspomnę tylko jeszcze raz o krwi błękitnej, nie zakrzepłej...

Bar

Tam gdzie chciałbyś powrócić  
powrócić nie ma do czego  
Tam dokąd chciałbyś dojść  
może nie wystarczy sił  
A stanąć w miejscu  
jako człowiekowi nie wypada  
Cóż więc złego iść tą drogą

utartą w schemat przetrwania  
w kierunku baru  
do którego zawsze blisko  
Wspominać miękko przeszłość  
a przyszłość mieć nie dalej  
niż kolejne piwo

Tam gdzie chciałbyś powrócić  
popiół i wilgoć  
Tam dokąd mógłbyś dojść  
gdyby wystarczyło sił  
żeby pomścić lęk i niepewność  
gwiazdy mogą być z nisko  
a do siebie dalej może jeszcze  
niż do baru  
w który życie się wykrwawia  
do nieprzytomności

20.05.99



# Umiesienie

gdy ciasno i szaro można o zmierzchu  
wierzchem na koniu karym lub gniadym  
bez przesady nad ziemią tuż pod niebem  
z siebie trwonić niewyżytą czarną krew  
wbrew regulaminom zamkniętej przestrzeni  
zmienić normy współżycia i późną godziną  
wy płynąć jednak z ram codzienności  
i zagościć bez zaproszenia między owadzimi skrzydłami  
podniebnymi kaskadami przeskakiwać jak ulotny pył  
w tył i przód przez nocny ludzki strach  
jak Bach w klawiaturę uderzać w symptomy klawiszy  
gdy dyszy gwiazda przy gwieździe  
i wszędzie nieskończona melodia ciemności  
ugościć cię już chcę jak najszybciej teraz  
zera wykreślić cyfry i liczby bure  
które codziennie przeliczają nastrój i duszy konta stan  
szanowny pan księżyc jak wniosek wysnuwa poświęcę  
a zatem ta chwila jak wielka niewiadoma  
pokona ramy czasu twardą ziemię pod stopami  
i nad nami rozepnie wąwóz gorejący  
niby niechcący i zanim chwila w nas zakrzepnie i oślepnie  
pięknie jest do ostatniej kropli krwi i srebra tak pięknie

# Wulkan

Wulkan nie wygaś choć już łagodniej  
Firanka niepokoju w okno łomocze  
Szaleństwo z balkonu pozdrawia obłoki  
Tuż przed skokiem  
Gdy we mnie żelazny pociąg  
Zawsze przed czasem o krew uderza  
Pijanym jak saksofon parowozem  
Z szybkością wypoczętego promienia  
Kruk przedziobuje finał fioletu nieba  
Kiedy pod nim idąc w butwiejącą trawę  
Wdeptywałem przebaczenie zwłoki złości  
Rękami obejmując ciszę kamienia  
Zrozumiałem że to nie cisza a roztropna mądrość  
Nie pojmowania własnego istnienia  
Więc mu oddałem cały krzyk serca  
I spokojny i wolny od jego dojmującej melodii  
Spojrzałem na odjeżdżający pociąg  
I wiedziałem że będę mógł już patrzeć we wszystkie  
Tylko nie w te jedyne oczy

# Smutek jesieni

Neony odznaczają się męstwem w mroku  
długim i bezszelestnym niczym zamysł wyjazdu  
Niczym więcej jest zatem ciemność jak tylko kroplą gęstego miodu  
obietującą niewyczerpaną odległą słodkość  
Na linii wzroku jeszcze ławka porzucona w odmęt przystanku  
i zderzak autobusu w którym ty na ostatnim siedzeniu  
jesteś paralełą przemijania  
Ostatni jest księżyc pies pod ławką ostatnia kromka światła  
dla lunatycznego wzroku i organiczna porcja tężejącego chłodu  
Jak co roku stary dreszcz włazi w człowieka na nowo  
i jak co roku ta sama wątpliwość  
od piwnicy po wyobraźnię kosmosu szklaną watę rozwiesza  
wyżyna się jakby zawsze pierwszy raz jak niemowlakowi ząbek  
A przecież jesień klasyczna jak temat z Schumanna  
niespełniona tęskniąca złota deszczowa skora do rozstań  
liśćmi w zapomniane się garnie zaułki po parku z pękniętym  
sercem wiersza pod rękę z sapiącym fletem wiatru nad głową  
się przechadza aleją której na imię bez końca  
Można by już wreszcie oswoić tę mętność otępiłość wzroku  
przebiegłą nostalgię października  
Ale nie kurczy się dusza niby po staremu a zaskoczona  
i znów znikoma jest bliskość a każdy wymiar  
odleglejszy od przypisanego znaczenia

Róża

Cierniowa miłośna i krwista  
Róża obiecująca smukła szczytująca wykwinna  
We flakonie życia wystarczy na kilka dni  
Dopóki krzepliwość pozwoli pracować  
Tętnu w kamieniejącym tyku  
Za kilka dni przyślę ci widokówkę  
Z okolic ciernistych ogrodów dolin o zmierzchu  
Gdy zrozumiam  
Poświatę narodzin i śmierci odnowę  
W zasuszoną różę wpatrzony  
Usycham wciąż na nowo  
Na niedokrwistość zapadły płatki  
Zgaszoną czerwienią szeleszczą za tobą  
A za mną jak zwykle  
Tylko wtedy szczerzy kolce miarowo

28.05.99

Jak się kopyto dogadywało z ziemią

kopyto bije o ziemię  
bije bez skrupułów wieniec isker  
życie o życie trze  
zrzucając z siebie winę wklęsnie  
lub badając upadłość kopyto boleśnie  
hukiem pierzchnie wszzer i wzdłuż  
ziemi metr po metrze  
kto winien a kto wyniośle  
ją udepcze albo się na niej zetrze  
kopyto w ziemi zanurza żale  
gęsia skórka gleby pył wdraża w przestrzeń  
życie o życie stuka dalej  
pierścień haceli raz grymasem raz grzecznie  
fontanny kurzu zwymyślają w powietrzu  
gdy stali błysk w rogowej podeszwie  
poddaje myśl lessowej zadumie  
aby poprzestać na lekkim szumie  
tarcu dyskretnym i z szacunku dla niej  
przejsć ze stukotu w przyjazne stąpanie

# Bujność

mieszać się z czerwienią wykrwawiać się nagminnie  
i nie wykrwawić nigdy  
piękno z blasku zachłannie okradać  
zielenią rozprzestrzeniać zarastać przerastać  
ścierać się błękitnie kołysać  
brać swobodnie wiraż a za zakrętem  
rozkładać się na prostej  
odróżniając przymus od tego co nieodzowne  
nic nie znaczyć zamasyścić  
z gestem przyjmować wyroki boskie  
nic nie posiadając nie posiadać się z niezmierności  
zwijać się skręcać odkręcać znikać zarysowywać  
obrać się pod wiatr do wnętrza wiatru  
bezbłędnie przezroczyściego  
świtać przed błyskiem zmierzchać przed nieszczęściem  
bezszelestnie otrzepywać się z bezsiły  
palić za sobą mosty karczować oznaki niedoli  
w nowe znaki zapytania odziewać depresje pustki  
zapominać się na pamięć  
zapominać siebie w obliczu nowej rany  
pamiętać o jutrze niedoskonałym  
i nie pamiętać o tym rano

# Jest droga

Jest droga, co o dobytku drzew nie pamięta.

Kreska horyzontu jak pręga na śnie tyrana

kreśli i kreśli oczom nieskończoność,

chęć przebudzenia, potrzebę wstawania.

Jest upiór przyszłości realny

jak cień okrzyku, jesiennej mgły błądzenie,

gdy stopy mierzą wartość schodów,

niosąc tęsknotę i zmęczenie.

Jest droga, droga jak twoje usta.

Wije się, kusi, raz złorzeczy to znów woła,

raz zda się być ślepa i pusta,

to znów rozpostarta jak skrzydła anioła.

# Preludium osamotnienia

Jak gdyby ten deszcz mógł cokolwiek dopadać  
odpowiedzieć tak się wysiła Po policzkach wieczornego nieba  
spływa bezgraniczny w amorficzną ciemność  
Na puszcze ostre znaki zmęczenie tatuują  
nakłuwając je nazwą piwa To wszystko co przede mną  
Poza tym późno i ty nie jesteś znowu ani trochę  
bardziej prawdziwa niż poprzednio Po raz kolejny  
cię obmyślam nad błatem ciszy przybitym do powietrza  
zachrypniętym wiatrem Deszcz coraz śmielszy  
jak gdyby to on miał przejąć samorodny talent  
do ciężenia opadania w żyzną pamięć do wykradania  
zdarzeniom tych odwiecznych spóźnień o włos o oddech  
o błysk oka na niedokładnie umówione spotkanie  
W kontuar ciszy uderza pisk sprężyn tóżka tuż za mną  
chrząknięcie kaszel Patrę jak zmieniasz bok moich wyobrażeń  
i światło lampki odsłania nagą prawdę twojej twarzy  
Kciuk odkrywa złote wnętrze puszek i nagła siła  
osamotnionej ściśniętej piany ciszę wprawia w zakłopotanie



# To miejsce. Tamto.

Czegoś brakuje temu miejscu  
klimatu, autentycznej fobii, pierwszeństwa.  
Lecz "coś" jest odmienne, jak my,  
frustracje map i dat przez pory, obyczaje.  
Odmienność jest zwierzęca,  
instynktownie rusza do ciepła i krwi.

I zawsze jest owo gdzieś, dalej, to szeleszczenia  
znaczeń, nieobliczalny pułap, podszept,  
nie gojące się nigdy umykanie.  
To miejsce jak statyw słów, krajobrazu  
i ja na przeciwległym brzegu zdarzenia,  
gdy wchodzisz z dojmującą potrzebą,  
chłonnym samopoczuciem przez próg homonimu  
mojego serca.

Za oknem szansa dla błyszczących oczu,  
łatwa zdaje się dal,  
ścieżki gwiazd, trajkot lamp, uległy mrok  
obejmujący upadłe, zagubione ulice.  
A tu ciepło, krew  
uprawiają w nas biologię.  
Podajesz nóż.  
Ale jeszcze szyba, odległość  
prosta i nieuchwytna  
jak jazzowy duet zawieruszonych ciał.

lima

Przez dymne osnowy zmierzchu

jesień żądli znamię mojej zapomnianej miłości

Nim śnieg oczyści ziemię z brunatnej strony nastrojów

martwe będą ptaki trzepoczących oczu

Samotny bardziej niż kiedykolwiek

jak milczący pacierz spalonego człowieka

pod płomień wiatru barkiem wsparty o słowo

szukam nowych znaczeń rozumianych samych przez się

modlitewnych liści

niewystawionego amen

Gdy przez skórę zmierzchu

miłość obejmuje kształt i zapach przeznaczenia

ukradkiem śląc jutru i wczoraj jego akty zgonów

zaśnięty usta mrozu na sercu

Na tyle oczekiwań odpowiedź - ciernie szronu

zima

# Antyczna rzeźba

Mięśnie zastygłe, skóra pokryta szronem stuleci,  
odłamana ręka, wzrok pusty od czekania.

Co wyniknie z tej rzeźby antycznej, co oczy roznieci,  
jaka mroczna tajemnica blade usta przesłania?

Skąd ta łza w pustym oku nagle nabrzmiała,  
gdy piękno w ostrogach zmierzchu dnia dosiada.  
Gdzie jej kamienna godność się zapodziała,  
kiedy na znak nieobecnej ręki rozpoczęta biesiada.

Krzyczą barwy całą paletą malarskiego spojrzenia.  
Każdy dźwięk allegro do woli sobie dogadza.  
Przez wieki na każdą odpowiedź mrocznego cienia  
obcięty łeb hydry stu ognistymi pytaniami się odradza!

Jaka wartość z tej rzeźby antycznej wyniknie,  
który kształt gładki jak prawda pozostanie,  
ile mięśni napręży się uroczyście, ile zniknie,  
czyje rysy ocaleją, czyje ułomność losu złamie?

# Kilka zawań

Kilka osób nie wróciło dziś do domu,  
kilka stanęło zakłopotanych w obliczu drzwi.  
Z porównań najlepsza jest czysta kartka, iza,  
wódka, która przestała smakować  
i już samotności nie rujnuje tylko zdrowie,  
zamiast za nie odptynąć po krwi wiekiustym firmamencie  
w niepokonaną twoich oczu głębie.

Dlaczego gwiazdy, dlaczego ich tyle,  
dlaczego nie są wieczne, jak i nic nie jest,  
i co im przyświeca ostatecznie, jako i one iskrzą  
gnębiąc nocy przeznaczenie.

Kilka osób nie powróci, kilka nikogo nie zastanie,  
kilka nie będzie w ogóle wychodzić,  
reszta nie będzie miała po co i dokąd wracać.  
Z porównań najlepsza jest kobieta,  
ta zawsze nieobecna, ta jutrzejsza.

# Rozstanie

a jednak, rzuciła tym taboretom,  
takim spokojnym, potulnym i zżyтым z podłogą,  
i uleciał niby blady, zdumiony obtok,  
jak kartka nie napisanego listu,  
a jednak, rozbiła ten talerz, biały i niewinny,  
i sterczą teraz ostre tzy, zbiełate ze złości  
i bezsily, kaleczą stopy wspólnego kroku,  
naokoło jeszcze tyle przedmiotów,  
jej i jego, już nie wspólnych,  
więc jednak, uderzył w stół tą pięścią,  
pieśnią zawsze pełną czułości  
dla włosów, policzków i sromu,  
i stół się ugiął pod brzmieniem tej czułości,  
i sptywają znad niego długie nocne rozmowy  
w szpary popękanej z przerażenia podłogi,  
jeszcze nikt nie chlapnął drzwiami,  
to scena z kilkoma odsłonami, bo jeszcze  
wspólne zdjęcie na etażerze w rogu,  
teraz rozdarte niczym serce lirycznego wiersza,  
i płyta Cohena, którą trudno podzielić,  
więc przez ramę okna zaznaję nocnego lotu,  
a jeszcze bransoleta, którą jej kupił za nocne zmiany,  
a książki, które mu przynosiła w dłoniach utkanych  
z tęsknoty, a gwiazdy, satelity ich oczu,  
a łóżko, którego sprężyny znały na pamięć  
ich miłosne taktę, teraz wrzask jak tarcza strachu,  
tzy tnące powieki, trzasnęły drzwi, ktoś wyszedł,  
czyjs cień został w pokoju, za ścianą obcy  
oglądają wiadomości, obcą wojnę z innego świata

# Wspomnienie jutra

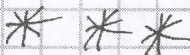
Pojemność ramion płynność wiedzy i knajp  
Płynne ja dzisiaj tak płynne  
Jak pergamin przed odwagą i finezją znaku  
Za ceglanym zamyśleniem fabryki pokrzywowy sad  
Sęk jutra w podłodze wczorajszego patio  
Jaki plan nie układany zawiódł  
Że osiągając podniebny smak  
Krwi smakiem kończy się zaślinione pragnienie

Nocne sklepienia nadranne prognozy  
Poranne liny liczenie w źrenicach upadłych gwiazd  
Wiodłem życie kanciaste  
Od kantu do kantu odbijało serce skwapliwy puls  
Na kocich łbach formowałem stopy  
Pod wiatr ustalał się kształt  
Kim jestem kim byłbym  
Gdyby sprawy nie przybierały księżycowego obrotu  
A ziarna oczu ufały tylko jednemu światłu  
Niczego nie wiem na pewno  
Wiedzie mnie rytm  
Z którym nie radzi sobie żaden życiowy takt

Jestem komiwojażerem pięknych kłamstw  
Czyli wyrozumiiałych prawd  
Niosę pociechę psuję krew  
Nalewam sobie do pełna  
Po sam wierzch dna  
Teraz gdy akompaniuje mi zmęczony oddech psa  
I oczy zwodzi stuwatowa żarówka  
Uzupelniam pamięć wspomnieniem jutra ✓

Panie Blake

Panie Blake cień to czy klasztor życie jak rąbek nieskończonego  
ze smużką nie domkniętych drzwi  
która wyobrażenie potęguje i zawsze je przekracza  
Dusza się skurczyła pod naporem miazgi poszła w pięty  
i nimi na bagna roztrzęsione zmierzchem  
Teraz bezduszny będę pisał o lampie tyżce stole  
o podłodze oknie szafie o zasiedziałym krześle  
o ich nieludzkim losie lecz pod ludzkim ich przydatności kątem  
Mnie już boleść weszła w nawyk i przestała boleć  
widocznie para wielkość odmierzać nie głębią a wdziękiem  
Ach te pańskie rozważania snujące się zaciekle dogłębnie  
gromkie nieprzyzwoicie odświętne jak liturgia losu  
I nic to nowego że samotność że pod prąd  
dla tej jednej chwili kiedy piecze podniebienie myśli  
ogniem mitycznym na wskroś kojąc wątpliwość  
drgającą stycznością mistyczną  
Ach te pańskie rysunki linie jak z nut napiętej partytury  
dojrzewającej w porze która wykracza poza każdą znaną porę  
A ja tu teraz pod lampą przy oknie podfogę dziele  
z krzesłem i obolałym od łokci stołem  
Chciałbym coś pod kątem z wdziękiem od siebie  
bezdusznie i stanowczo rozmiękczyć klasztorne cienie



Już ktoś to napisał: atramentem serdecznym,  
rzeźbą ręki w kamieniu zastygłą;  
boską Venus malując lub nicość odczyniając  
w kamieniu ukrytą.  
Ja wiem, że atrament wysycha szybciej niż myśl,  
że słowa są tylko echem albo inspirującym prologiem,  
lecz jestem bezbronny, więc piszę, ostrożnie,  
aby jak najmniej uronić z mojej Beatrycze.  
Piszę, żeby się uwolnić od słów,  
które cisną się gwałtownie do ust,  
równomierny takt krtani raniąc nutą drapieżną.  
Piszę rytmem krwi, który od adagio  
przechodzi w historyczne allegro.  
Wiem, że słowa są tylko nikłym wstępem lub pogłosem,  
przemilczeniem mniej bolesnym,  
lecz jestem bezbronny, więc piszę,  
szybko schnącą krwią serdeczną.



# Piję dzisiaj

Za nasze podróże w głąb i po krańce  
do źródeł czasu za przyptywy i odpływy bagien  
piję dzisiaj

Za dreszcze nasze przepelnione noce wysmagane dni  
kłótnie z Bogiem za gorące serca i skostniałe dłonie  
piję dzisiaj

Za naszą wiarę torturowaną i poddawaną ciągłym próbom jawę  
za skraj drogi który jest nieustającym początkiem  
piję dzisiaj

Za tęsknotę doskonałą i kiepski życiorys  
za żal genialny i markotne zadowolenie  
piję dzisiaj

Za chwile wlokące się w nieskończoność i te zbyt nagłe  
za paraliż i epilepsję za bujną krew  
piję dzisiaj

Za uścisk dłoni i odchodzenie w nieznanne za ciągłość  
i opustoszały nagle przystanek za napięte nerwy popękane wargi  
piję dzisiaj

Za wysokie wiersze i niskie mniemanie  
za ekstatyczne niebo i ból ekstazy za piekło na ziemi  
piję dzisiaj

Za podziemne gejzery nadziei za słodką pieśń w płucach  
za to że się unosi coś wciąż jeszcze nie nazwane  
piję dzisiaj

Za naszą miłość silną zwartą i gotową i tak bardzo wyczerpaną  
upilem się dzisiaj

# Krajobraz z domem

Ptak się uwalnia z chmurnego dozoru

Skra obrotu piecze pod skrzydłem

Boli w oku

Jak spojrzeć i bolącym okiem sięgnąć

Pierzasty stan odrętwienia

Zamyka się powieka widnokregu i otwiera

Nad zmęczonym okiem brew napięta

Wspina się po rynnie rdza

Komin pluje sadzą

Nieba nad ziemią nadto

Krawędzią bije serce drzewa o korę pustego domu

Spróchniałe pokoje i niepokój szorstki

Na przedsiönku

Faktura drzwi napięta

Krajobraz pręży się jak kot

I jak skóra czasu pęka

# Dzisiaj się godzę

Brzemienny pomruk szarego nieba  
mogę przerobić na dowolny temat  
na konstrukcję statyczną lub dynamiczną  
lecz dziś godzę się na wszystko  
co czarno na białym

Dzisiaj uczestniczę jako gość w burlesce tej planety  
razem z jej godnością i niechlujstwem niestety  
dzisiaj jestem zmęczonym odbiorcą  
i wszystkie barwy które korcą  
odbieram nieprzetwarzalnie

Przy jednym stole życia  
niech się odbędzie co jest do odbycia  
dzisiaj odbywam się  
razem ze wszystkim

Dzisiaj nie używam długopisu  
wybieram gotowe rzeczy z jadłospisu  
dzisiaj na podane się godzę  
ale tylko dzisiaj

# Po koncercie barde

Wybrzmiał mikrofon głośnik zdystansował się od prądu  
następny papieros zagęszcza próżną przestrzeń.  
Muzyka jest piękną choć okrężną drogą sedna  
cisza jak głęboki uraz po ciosie dźwięku.

Nikt się nie przewraca nie klnie  
nikt nie wlatuje nikt nie wychodzi oknem.  
Jest sala barek i jest bariera  
jest grzeczna przychylność i jest brak ciepła.

Gwar spuchł aż ścianom zapadły się boki  
stoliki okrążone rojem dłoni które zastygają nad nimi jak półtony.  
Na parkiecie warstwy zdań przydeptane obcasami  
schylałam się szukając pośród nich okruchów pieśni.

I nagle czuję że nie mogę już nawet unieść  
i raptem zdają sobie sprawę że już obcej  
że nie mogę już nawet się wyprostować  
rozprostować w pion dumnej samotności.

# Ani nic

Ani chodzenie pod górę do szkoły,  
ani denna samotność i skrzywienie powodzenia,  
ani nędza i spuchnięte chwile szczęścia,  
ani bezdomność i apartament wszechświata,  
ani brak przyjaciół i nadmiar dłoni do klepania,  
ani gorzała i odrętwiały mózg kaca,  
ani szyderstwa i torpedy pochwał atakujące mięsień serca,  
ani głupota pojmowania i szczęście niewiedzy,  
ani romantyczne dysputy i szybkie numerki,  
ani górne wiersze i dolne doświadczenia,  
ani policja i banicja, ani polityka,  
ani ta, która zdradziła, ani ta, która z tęsknoty wyszła za mąż,  
ani ziemia, co uziemiała, ani obłoki, co błogosławiły,  
ani żyzna podwalina spokoju, ani roztargniona potrzeba ognia,  
ani krew śliska i zakrzepła zniewągą,  
ani rytm przedmieścia i pomnik w centrum,  
ani dziewictwo i kurestwo,  
ani nic,  
nie pozbawito mnie  
drżenia życia.

# Mysłów o śmierci

Gdy byłem młodszy, jak każdy w tym katerycznym wieku,  
dużo myślałem o śmierci.

Widziałem nieprzebrane tłumy, morze też  
unoszące pamięć o mnie, nade mną lepsze niebo.

Odhodziło w chwale szybkiego i pięknego życia;

opuszczona ziemia wolniej toczyła niedolę,  
drzewo nad grobem mocno się przygarbiło.

Dziś, kiedy kostucha zdążyła już raz czy dwa,  
typnąć na mnie swym ostatecznym ślepiem,  
wiem, że byłoby pusto, dostownie cmentarnie i cicho.

Ziemia byłaby zajęta rozkładaniem innych ciał,  
drzewo miałoby ważniejsze sprawy na gałęziach,  
jak choćby manicure liści.

Teraz wiem, że trakt będzie pusty, samotny i sztywny  
jak przedłużenie gorsetu moich sztywnych kości,  
nabity jedynie, zamiast kocimi, łbami zaniechanych pragnień.

Będzie może niezręcznie fruwać zbyt wysoko kosa,  
wichrowi nieść zbyt daleko czyjś śmiech,  
to wszystko.

Będzie pusto bo ja zbyt często byłem pustką  
odkładającą na jutro miłość, na wczoraj strach.

Teraz wiem, że niczego nie można odkładać.

Jutro może nie nadejść lub nadejść za późno,  
za późno dla tylu spraw.

Nie można odkładać na później  
siebie, kogoś, chwili, krajobrazu.

# Ars poetica

głoska za głoską

akcent na ostatnią kwestię

jeszcze ciepło w dłoni słowa

przeczną i zagubioną

między palcami sylab

i drażliwa ta niepewność

czy tknięta w domyśle

do potęgi litera

poczęła czy zatamowała

krwotok echa

język cięty póki się nie stępi

będzie się uczył odpoczynku w metrum

lecząc ciepłym cięciem dźwięki

zaślini się i zmęczy

aż natknie się na godny siebie

skalpel puenty

# Co komu

co komu do twarzy  
że blada do myśli  
że wyblakła że usta zacięte  
i oczy bez blasku

co komu do ciszy  
że głucha do płomienia  
że drżący że mgła przepastna  
i dal bezkształtna

co komu do samotności  
że bezkresna do uporu  
że rdzawy że dusza obła  
i cień całodobowy

co niebu do mnie  
że tak mną  
zakamarki chmur wymiata  
i ziemi co do mnie  
że tak mnie  
podwójnym dnem obłaskawia



# To co gra

Tylko wątłe ciało, któremu wszystko jedno,  
czy rozedma, tyfus, paraliż czy rzeżączka,  
zgodzi się na geniusz wewnątrz.

Jedynie kruche, przygotowane na wcześniejszą rozsypkę kości,  
zaryzykują dźwignąć ciężarną przez całe życia sprzeczność melodii,  
obietnice muzyki i zdradę bezmiaru,  
nieskończoność dźwięku i schyłek skali.

To co gra przez nieodmienne części świtu i zmierzchu,  
rozrywa płuca.

Kawałek po kawałku świszczące płuca wypłuwa Chopin.

To co się uzbierało na pięciolinii podchwycą palce  
i przekażą dalej, poszarpanym nerwom fortepianu.

To co gra wschodzi przed bielą, zachodzi później  
niż czern klawiatury.

Ubitym gościńcem koncertu barwna dorożka obłądu  
wpada na solową arię śmierci.

Zdrowie skłonne do poświęceń ustępuje,  
gdy za ciasno zaborczej Wenerze.

Błady Mozart ustępuje przed próbą generalną orkiestry światła.

Echo znudzone wtórowaniem sprowadza tonację  
z chorobliwego tematu, ze wzgórze, w bezimienne błoto cmentarza,  
gdzie jedna spośród wielu czaszka biedaka.

Ale nad nią czarne Requiem pochyla cienie wiolonczeli  
pytając o Don Giovanniego i przyjęcie u Figara.

Potem szybkie cięcie fletu spokój wzgórze przecina.

Kompozycja między życiem a śmiercią się zatacza.

Ludwik głuchotę przekroczył.

To co gra przekracza IX Symfonię,  
wypija zdrowie, ciało wyjada,  
znów ma siłę na nieśmiertelność.

# Płyną płyną

Oto płyną już płyną  
szybą asfaltową doliną do momentu chodnika  
Oto potok rusza poruszony szron złota  
brylant zamyka w kraterze rynsztoka  
Na końcu języka na początku śliny  
ostatnia ulica już mokra

Już płyną oto płyną  
smukłym krawężnikiem wiatą w gardziel przesmyku  
Oto unosi ramię mgła bezsilna godzina wybija  
krata ścieku pracuje otów połyka  
Na początku mowy na końcu przełyku  
pierwsza już gwiazda skąpana

Tak płyną płyną oto bez pamięci  
jest cała esencja zemsty w namiętym sptywaniu  
po rzeźbie policzka dumie obłoku  
Tak płyną płyną oto  
takie suche szorstkie  
tzy

# Wszystko już było

Pod uwijającymi się w ukropie blasku gwiazdami  
na nowej nieba genezie  
wzorem przepowiedni wiekuiestej osmozy  
światła i mroku smaku i bredni  
wykorzystując nieodpowiedzialność szaleństwa  
i opanowanie wiedzy zatrzymujemy élan vital na krawędzi  
Nasze wieczorne po omacku adagio  
amoroso w czterotakcie od dłoni do ust  
od puszystych słów po pech spojrzenia wokół  
czas zatrzymany rozwieszony na wierszy obręczach

Zmiany przemiany selekcja  
oraz to co pierwsze z brzegu  
oczekiwane albo niespodziewane  
zadośćuczynienie wątłym plamom ramion  
To się unosi i opada  
co przeminęło okrąży siebie i powraca  
pod nową postacią przemija znów

# Nadwonne divertimento

Z szarówki mosiężnej nicości dzień sierść stroszy  
Unosi kończyny jak pajak drepce zęby mgłą ostrzy  
Twarz wystawia pod latarnię błyskają w oknach flesze  
Od papierosa do papierosa poranek mierzę

Nieruchome powietrze przeznaczenia bezwietrznie  
To cisza przed burzą bo to na wietrze  
Rozegrają się plany i przypadki ciężarówek wczesne  
Pomruki porusza się pierś silnika kawą osłabiam serce

Dzień będzie dłuższy o całe cztery minuty  
Dwieście czterdzieści sekund więcej dramatu utopii i nudy  
Tragifarsą jest życie najlepiej to widać rano  
Gdy puste ulice zamknięte oczy i usta jeszcze nie kłamią

Będę się przyglądał paradzie z boku będę jak sęk  
Będę krzyczał w ciszy ale ogłuchnę na zgiełk  
Ten dar kolejny dzień co się jeszcze w powijakach krztusi  
Miał sen niespokojny szturchnął mnie do pisania zmusił

Łąka

Beknięcie chwastów pomiędzy trawą przebaczenia  
światu za oddech nie ludzki, nie do życia, nie do wzrastania.  
Pokutę mleczy usta ciszy gorzkim sokiem odmawiają wzdłuż todayi.  
Żaden kierunek nie jest najlepszy, nie wzywa.  
Kierunki są teraz po to, by patrzeć w ich stronę  
i świętej pamięci odwagę zapatrzona przywołać.

Kombinują dmuchawce, jak wzlecieć  
ponad zwartą tożsamość rumianku i nic nie nieść,  
nic, żadnej nowiny, tylko swą naiwność  
ponad pozorami, ponad realnością zatrzymać.  
Podaruje im wiatr chwilę szczęścia,  
krótki lot na krańce rozpasanej zieleni,  
agonię ich miękkiej osobności.

Otóż nie udało mi się ani snem ani bezsennością  
uniknąć słodkich ukąszeń pokrzywy, ostrych pocałunków ostu,  
obejść zapachu śmierci, zapomnieć smaku krwi przekwitłej aronii.  
Zieleń coraz rzadziej rozpala się z mrocznej ziemi  
i opiekę roztacza nad płatkami namiętności.  
Wypalone skronie czasu, to czoło, jednak ciągle płonie.  
Czas łąki jest wieczny; w pamięci, w wyobrażeniach lub na co dzień.  
Zaplątany wiecznie tonę.

# Zagraj mi

Zagraj mi Czajkowskiego, Griega, Straussa,  
to czego nie zdążyli, nie zdołali zagrać.  
Zagraj, mówię, lecz nie wiem do kogo  
podczas hucznej fiesty w mauzoleum pozoru,  
żwawego przed jutrzejszą inercją tańca.  
Zagraj, może być ta trąbka nieśmiała między hejnałami,  
ta gitara łkająca pod palcami wieczoru,  
albo fortepian rzadko spolegliwy, nielicznym gwiazdom.  
Zagraj, proszę, kimkolwiek jesteś,  
Otella, Oniegina, Hamleta, Gustawa.  
Zagraj, błagam, tym rytmem hulaszczym trwoniciela światła,  
pana Cogito, Konrada, Kordiana, niewdzięcznego łotra  
i wiernego Rusłana, pana na pstrym koniu  
i dumnego żebraka, pana Nikt, który już nigdy i nigdzie  
nie usłyszy w tej skali tak symetrycznej wrzawy nut.  
Zagraj muzyką i słowem przedzierającymi się przez gryf  
najeżony niezręcznym żalem, niegodziwym zmierzchem,  
bezczelnym świtem.  
Zagraj, nawet gdybyś był katem i toporem pomagał przeznaczeniu  
ciała i materię uczuć badać; ostrze potrafi pięknie  
bezkształtowi zwątpienia kształt śmiertelny nadać,  
bezkształtowi nadziei blask życia zadać.  
Bezwzględnie, zagraj mi, może być syk nerwu, szmer trawy,  
wyniosły zgrzyt dźwigu, trzepot skrzydeł,  
albo speleologiczna strachu eskapada.  
Ale musi być nagle, a vista, karkołomnie,  
niepowtarzalnie, niebezpiecznie i cudownie,  
jeden jedyny raz, raz na zawsze,  
zagraj mi.

## Spis utworów:

Przez  
Płaszcz  
Wszystko co mogę  
Oda ku młodości  
Bar  
Uniesienie  
Wulkan  
Smak jesieni  
Róża  
Jak się kopyto dogadywało z ziemią  
Bujność  
Jest droga  
Preludium osamotnienia  
To miejsce. Tamto.  
Zima  
Antyczna rzeźba  
Kilka zawahań  
Rozstanie  
Wspomnienie jutra  
Panie Blake  
\*\*\*  
Piję dzisiaj  
Krajobraz z domem  
Dzisiaj się godzę  
Po koncercie barda  
Ani nic  
Myśląc o śmierci  
Ars poetica  
Co komu  
To co gra  
Płyną płyną  
Wszystko już było  
Nadranne divertimento  
Łąka  
Zagraj mi

